

# Dwa razy „Inkarno”

● **KAZIMIERZ BRANDYS:** Inkarno. Komedja kryminalna. Prapremiera w Teatrze Kameralnym we Wrocławiu w reżyserii Piotra Paradowskiego i scenografii Franciszka Starowieyskiego; premiera w Teatrze „Ateneum” w Warszawie w reżyserii Wandy Laskowskiej i scenografii Andrzeja Sadwskiego.

Dürrenmatt umieścił akcje swoich „Fizyków” w zakładzie dla chorych psychicznie. W Polsce sztuce o pacjentach domu wariatów napisał toruński aktor i literat Zygmunt Wojdan. Jego „Dom bez klamek” wystawił teatr im. Horzycy w Toruniu i teatr „Wybrzeże” w Gdańsku. Jerzy Grotowski umieścił wśród obłąkanych całą swoją wersję „Kordiana”. A oto napisał sztuce, rozgrywającą się wśród chorych psychicznie, Kazimierz Brandys. Sztuka ta różni się jednak od swoich poprzedników. Jest mianowicie komedia kryminalna, jak nazwał ją sam autor. Jest zabawa i sensacja jednocześnie, sensacyjna zabawa. Ma w sobie coś z „Kobry” i coś z czarnego humoru „Czerwonej oberży”. Dürrenmatt postępuje się także chętnie schematem powieści czy sztuki kryminalnej, wprowadza do swych utworów element humoru, nazywa je komediami. Tylko, że Dürrenmatt pragnie powiedzieć o świecie coś więcej, filozofuje, moralizuje, a sensacyjne zdarzenia i humor są dla niego środkiem ułatwiającym osiągnięcie zamierzonego celu. Mają wciągnąć widza, zabawić go i niepostrzeżenie zmusić do myślenia o sprawach bardzo poważnych. U Brandysa inaczej. „Inkarno”

jest sensacyjna zabawa i nie trzeba doszukiwać się w tej sztuce filozoficznych, czy psychologicznych głębi. Może nawet była tam początkowo myśl o tym, że każdy człowiek gra kogoś i buduje swoją osobowość wedle pewnej wymyślonej koncepcji. Może była tam głębsza myśl o leczeniu nerwicy i psychoneurwicy? Świętyni psychiatry dr Bolesław Ałłapin twierdzi nawet, że teza Brandysa o powszechności zdrowia i choroby jako stanie niesprzecznym nie jest wcale tak nonsensowna, jakby się to znawcom medycyny wydawało. Sprawa ta nie odgrywa jednak w całej konstrukcji sztuki tak wielkiej roli, aby można było na niej opierać myśl przewodnią inscenizacji.

I tu dochodzimy do sedna problemu. Widziałem dwa przedstawienia „Inkarna”: we Wrocławiu i w Warszawie. Było to niezwykle pouczające doświadczenie. Świadczyło jeszcze raz o tym, ile zrobić może dla sztuki teatr. Gdyby ktoś pragnął ocenić sztukę Brandysa tylko na podstawie spektaklu warszawskiego — musiałby wydać o niej sąd bardzo ujemny. Było to wszystko nudne i nieciekawe. Dłużyło się i męczyło, gubiąc się w psychologicznych dociekaniach. A

tymczasem we Wrocławiu publiczność bawi się doskonale, spektakl jest żywy, wesoły, trzyma w napięciu przez cały czas. W oparciu o ten sam tekst powstało przedstawienie zupełnie odmienne i nawet lektura sztuki nie pozwala domyślić się aż takich możliwości.

Po prostu we Wrocławiu znalazł się utalentowany młody reżyser, PIOTR PARADOWSKI, który znalazł klucz do „Inkarna”, trafił we właściwy ton, nie ograniczył się do ustawiania sytuacji i sprawdzenia, czy aktorzy poprawnie wypowiadają tekst, lecz opracował sztukę twórczo, wniósł wiele własnych pomysłów, własnej inwencji. Był tu zresztą w całkowitej zgodzie z intencją autora. Oglądamy we Wrocławiu prawdziwą komedię kryminalną. Przez cały czas do końca przedstawienia nie wiadomo, czy bohater jest ukrywającym się zbrodniarzem, czy też tylko chorym psychicznie człowiekiem, który chciał dostać się do kliniki siynowego profesora. Sztuka grana jest lekko, dowcipnie, wesoło, nikt nie usiłuje wgłębiać się w problemy psychoanalizy, czy w teorię leczenia metodą „Inkarno”. Zarówno reżyser, jak i widzowie wiedzą od początku, że jest to tylko żart, pretekst dla komedii, taki dobry jak każdy inny. Nikt nie traktuje tych spraw poważnie. Tak też grają aktorzy. Są prawdziwymi ludźmi, a nie kukłami, a zarazem uczestnikami komedii. Lekko podają dowcipy, grają szybko, są śmieszni, zabawni i wiarygodni.

W spektaklu „Ateneum” wszystko jest na opak. Reżyser usiłował doszukać się w „Inkarnie” głębszej treści, zgubił zaś jej podstawowe elementy: sensację i humor. Aktorzy siłą się na groteskę, zamiast grać komedię. Nawet tak utalentowany artysta, jak JAN MATYJASZKIEWICZ, nie umiał znaleźć właściwego tonu dla roli Profesora. We Wrocławiu ARTUR MŁODNICKI był beładny: trochę kabotyn, trochę szarlatan, trochę

zakochany w sobie mistrz, ale bezspornie Profesor. Godny, pewny siebie, światowa sława. A przy tym Młodnicki grał ironicznie. Był sławnym uczonym i wysmiewał go jednocześnie. Była to karykatura narysowana leciutką kreską i w najlepszym smaku. Również BOGUSŁAW DANIELEWSKI zagrał znacznie lepiej chorego, który symuluje zbrodniarza, niż LUDWIK PAK. Ulatwiła mu zresztą zadanie trafna koncepcja reżysera. Nikt nie odsonił do końca jego tajemnicy i dlatego mógł być niesamowity, jak zabójca osmiu kobiet. Również galeria pacjentów Profesora była we wrocławskim spektaklu znacznie bogatsza, śmieszniejsza, bardziej szindywidualizowana i lepiej opracowana, niż w „Ateneum”. A PIOTR KUROWSKI, czy ZDZISŁAW MAKŁAKIEWICZ zagrał swoje małe role wręcz znakomicie. W Warszawie jeden tylko MARIAN RULKA stworzył w roli „Podsiuchwanego” prawdziwą i śmieszna postać. Tak chyba trzeba było zagrać je wszystkie.

Osobliwość warszawskiego spektaklu było wprowadzenie na scenę autentycznych obokrajowców w rolach profesora Koshto i dyrektora Burungo. CZIMED DANZAN miał żółta skórę i skośne oczy, jak autentyczny Japończyk, zaś ODIA OMAGE był autentycznie ciemnoskóry. Obaj wyglądali na scenie bardzo sympatycznie. Tylko że sztuka Brandysa nie wymaga wcale autentyzmu, lecz właśnie kompozycji. Jest realistyczna, ale znacznie bardziej umowna, niż to się reżyserce wydawało. I dlatego wymaga innego rodzaju zabiegów. Widoczne to było nawet w scenografii. FRANCISZEK STAROWIEYSKI dał we Wrocławiu też funkcjonalne i skomponowane. Dekoracja wzbudzała uśmiech od pierwszej chwili, kiedy tylko kurtyna poszła w górę. ANDRZEJ SADOWSKI zaprojektował w „Ateneum” czystą i ładną scenografię. Nie było w niej tylko dwóch elementów: nie miała w sobie niczego niepokojącego i nie była dowcipna. A więc grzebała efekty spektaklu, podobnie, jak reżyseria.

Wrocław pobili Warszawę. Jeszcze raz okazało się, że pojęcie „prowincji” jest dziś w Polsce sprawą względna. Przynajmniej w teatrze. A sztuka Brandysa znalazła się w „Ateneum” pod gruzami przyćmiewionej reżyserii i braku zrozumienia jej istotnych walorów.